

Styczeń 2013

Pokój czyniący

Jako dramatyczny apel o pokój określiły media Bożonarodzeniowe orędzie Benedykta XVI. Papież wskazał na najbardziej dramatyczne przejawy przemocy w Syrii oraz w krajach Afryki. Tematyka pokoju należy już tradycyjnie do istotnych treści papieskich wypowiedzi w czasie Bożego Narodzenia. Należy do nich także coroczne papieskie orędzie na pierwszy dzień nowego roku, będący Światowym Dniem Pokoju, które w tym roku przybrało obszerniejszą niż zazwyczaj formę i zostało nazwane "małą encykliką o pokoju". Benedykt XVI nawiązuje w nim do Jezusowego błogosławieństwa - obietnicy dla tych, którzy wprowadzają pokój (Mt 5, 9).

Coraz bardziej staje się widoczne, że opieranie nadziei na pokojowe współistnienie wyłącznie na zasadach tolerancji oraz nieograniczonej wolności gospodarczej, musi zakończyć się gorzkim rozczarowaniem. Prawdziwego pokoju nie sposób wyprodukować sposobami, jakimi się produkuje dobra konsumpcyjne. Jest on wprawdzie ludzkim dziełem, ale jednocześnie mesjańskim darem. Przypominając te prawdy podstawowe, Benedykt XVI wskazuje na kwestię kluczową, bez respektowania której żadne wysiłki pokojowe nie mogą przynieść pozytywnego skutku. Jest nią otwarta na wymiar nadprzyrodzony i integralna koncepcja człowieka oraz wynikających z jego natury praw i obowiązków. Wydawałoby się, że na tym polu możliwe jest porozumienie ponad wszelkimi religijnymi i światopoglądowymi podziałami, ale niestety dziś obserwuje się proces wręcz odwrotny. Negowana jest nie tylko dotychczasowa, oparta na tradycji judeochrześcijańskiej koncepcja człowieka, ale kwestionowana jest w ogóle sensowność, a nawet możliwość udzielenia spójnej odpowiedzi na pytanie o ludzką naturę. Papież nie ma wątpliwości:

Negowanie tego, co stanowi prawdziwą naturę istoty ludzkiej w jej zasadniczych wymiarach, we właściwej jej zdolności do poznania prawdy i dobra i w ostatecznym rozrachunku samego Boga, stanowi zagrożenie dla budowania pokoju (nr 3). Tym, co nieustannie zaciemnia i neguje pokój jest grzech, który ujawnia się na tysiąc sposobów: od postaw nacechowanych egoizmem i skłonnością do przemocy, poprzez chciwość - nie tylko posiadania, ale także władzy i dominacji, aż po tworzenie niesprawiedliwych struktur, które stanowią stałe zagrożenie dla pokoju. Te ostatnie to nie tylko wspierające bezprawie instytucje, ale także pewne schematy mentalnościowe, które pod wpływem ofensywnej propagandy bardzo szybko znajdują swoje odzwierciedlenie w rozwiązaniach prawnych. Wykrzywiona koncepcja człowieka pokazuje się szczególnie w stylu życia i prawodawstwie nie szanującym ludzkiego życia, negującym naturalną strukturę małżeństwa jako nierozzerwalnego przemierza między mężczyzną i kobietą oraz naruszającym prawo do wolności religijnej. Benedykt XVI wskazuje tu konkretnie na konieczność prawnego zagwarantowania prawa do korzystania ze sprzeciwu sumienia. Wspomnienie w tym kontekście ustaw legalizujących aborcję i eutanazję pozwala wnioskować, że odnosi się to w sposób szczególny do katolików zaangażowanych w obszarze służby zdrowia: lekarzy, personel medyczny i farmaceutów.

Mimo tych ostrzeżeń orędzie Benedykta XVI zawiera mocny ładunek nadziei. W samym jego centrum papież wyraża przekonanie, że pokój jest możliwy. Nie jest i nie może być traktowany jedynie jako utopijny ogród szczęśliwości, zbyt piękny, by mógł być realistyczny. Nie wolno szczędzić sił i energii, szczególnie w obszarze wychowania młodego pokolenia, by kształtować ludzi, dla których pokój będzie należał do istotnych wartości. *Pokojowe myśli, słowa i gesty tworzą mentalność i kulturę pokoju, atmosferę szacunku,*

uczciwości i serdeczności. Trzeba zatem uczyć ludzi wzajemnej miłości i wychowywania do pokoju, życia w życzliwości, a nie tylko tolerowania się (nr 7).

Papieski apel na początek nowego roku nie powinien być postrzegany jedynie w kategoriach pewnej tradycji, która począwszy od 1968 roku każe biskupom Rzymu w pierwszy dzień nowego roku kalendarzowego zwracać się do wierzących i wszystkich ludzi dobrej woli z wezwaniem do budowania pokoju. Jest to każdorazowo wyraz chrześcijańskiego zaangażowania w historię. Całemu Kościołowi, a jego pasterzom w sposób szczególny, nie wolno pozostawać na pozycjach biernych obserwatorów, pozostawiających aktywne kształtowania świata ludziom, którzy nie uznają Boga.

Luty 2013

O równości nierównych

Burza w Sejmie po odrzuceniu projektów ustawy o związkach partnerskich, ujawniła w całej ostrości co najmniej dwa obszary dotyczące problematyki etycznej w polityce. Pierwszym z nich jest szacunek dla sumienia pośła w przypadku głosowań dotyczących problemów światopoglądowych. W zasadzie nie powinno być żadnych ograniczeń dla wolności sumienia jakiegokolwiek obywatela (jeżeli tylko nie narusza wolności innych i porządku publicznego), gdyż wolność sumienia plasuje się na samym szczycie kodeksu praw człowieka i należy niewątpliwie do praw podstawowych. Sytuacja staje się jednak szczególnie dramatyczna, gdy w grę wchodzi parlamentarne głosowania dotyczące kwestii etycznych w małżeństwie i rodzinie. Nie bez powodu pierwotnie także na poziomie unijnym głosowania tego typu zostały pozostawione w gestii państw członkowskich. Po tym szacunku dla

rozstrzygnięć lokalnych nie pozostało jednak wiele, tak na płaszczyźnie unijnej, jak i krajowej. Zastrzeżenie wyrażone przez ministra sprawiedliwości Jarosława Gowina, który z trybuny sejmowej przestrzegał przed niekonstytucyjnością projektów, zostało uznane za brak lojalności. Posłowie, którzy przeważyli szalę głosowania na niekorzyść zmian godzących w rodzinę, musieli zmierzyć się z falą publicznego napiętnowania, część ich nazwisk pojawiła się nawet w telewizyjnych wiadomościach. Ani słowem nie wspomniano przy tym o szacunku dla sumienia posła, a jest to przecież papierek lakmusowy, wskazujący na jakość demokracji parlamentarnej. Okazało się, że liczy się jedynie lojalność partyjna, mająca rzekomo unieważniać werdykt sumienia posła, który - jak płaszcz - miałby być przez niego pozostawiony w sejmowej szatni. Posłom, którzy nie ugięli się wobec takiego dyktatu, niebezpiecznie przypominającego sposoby dyscyplinowania w systemach totalitarnych, należy się niewątpliwie szacunek.

Drugi wątek etyczny dotyczy samego meritum sprawy - kwestii związków partnerskich. Można i trzeba krytycznie spojrzeć na ton dyskusji i sposób argumentacji, a szczególnie na niewybredny język i porównania - i to po obu stronach barykady. Jednak trudno zanegować to, że związek osób homoseksualnych nie jest i nigdy nie będzie formą małżeństwa, jak nie są nią także inne związki osób, które z jakichś względów - zazwyczaj chodzi o relację emocjonalną, oszczędność, wzajemną bądź jednostronną opiekę, wzajemne prawo uzyskiwania informacji itp. - zamierzają mieszkać i żyć w razem. Osoby takie mają zgodnie z już obowiązującym prawem cały szereg instrumentów prawnych, by określić i zabezpieczyć wzajemne prawa i obowiązki. Od początku jednak wiadomo, że nie o tego typu prawne niuanse tu chodzi. Celem nowego ustawodawstwa jest uzyskanie dla związków partnerskich, a szczególnie związków par jedнопłciowych, społecznego uznania i statusu, analogicznego z

uznaniem i konstytucyjnym wsparciem, jakim cieszy się małżeństwo. Kropką nad "i", jak pokazuje przykład krajów zachodnich, jest zawsze prawo do adopcji dzieci przez pary homoseksualne, o które walka rozpoczynała się w tych krajach niemalże w tym samym dniu, w którym lokalne parlamenty przegłosowały ustawy o legalizacji związków partnerskich. By uzyskać ten cel nie wystarczą oczywiście argumenty, bo te byłyby dla większości zdrowo myślących ludzi nieprzekonujące. Nie ulega wątpliwości, że związki paramażeńskie nie mają takiego znaczenia dla społeczeństwa, jakie ma trwała rodzina, w której rodzą się i są wychowywane nowe pokolenia. Kto nie poddaje się intensywnej progejowskiej propagandzie, temu trudno będzie uznać homo-, trans-, bi- oraz queerseksualizmu za "wariant normalności", a raczej będzie w nich widział różne warianty psychoseksualnych zaburzeń. Obdarzenie tego typu związków przywilejami małżeńsko-rodzinnymi (a nie odbieranie im praw i przywilejów - jak twierdzą ich zwolennicy!) jest działaniem głęboko destrukcyjnym, godzącym w stabilność społeczeństwa. Takie argumenty nie tylko nie są słuchane, ale natychmiast bywają określane mianem faszyzmu. W kontekście kampanii dezinformacyjnych, szkalujących przeciwników związków partnerskich oraz nacisków ponadnarodowych organizacji (agendy unijne i organizacje pozarządowe), tym bardziej szanować i cenić należy tych posłów, którzy mają odwagę opowiedzieć się za wartością opartej na heteroseksualnym małżeństwie rodziny ze wszystkimi konsekwencjami takiej decyzji.

Według jednej z wpływowych zachodnich gazet odrzucenie projektów ustaw o związkach partnerskich w polskim Sejmie ma świadczyć o tym, że Polska pozostaje nadal na Wschodzie, a nie w centrum Europy. Patrząc na ten starzejący się, wyludniający się kontynent, który powoli zaczyna tonąć w ideologiczno-genderowej i hedonistycznej papce ponowoczesnego stylu życia,

nie jest to wcale najgorsze miejsce. Dzięki niemu szanse na przetrwanie nie spadają do zera.

Marzec 2013

Pożegnanie Benedykta

Uchodzący w liberalnych mediach za symbol konserwatyzmu papież Benedykt XVI zaskoczył swoją decyzją o abdykacji nie tylko dziennikarzy i obserwatorów, ale także wierzących na całym świecie. W pierwszych komentarzach dominowało zakłopotanie i pewna bezradność. Czym spowodowana była ta decyzja? Wyczerpaniem? Tajemniczą diagnozą lekarską? Przerażeniem stanem Kościoła? Naciskiem? A może była wyrazem lęku czy wręcz tchórzostwa? Sam papież komentował ją od 11 lutego wielokrotnie i wydaje się, że jego wyjaśnienia zostały przez opinię publiczną przyjęte: "Nie porzucam krzyża, lecz pozostaję nowy sposób przy ukrzyżowanym Panu".

Jaki to był pontyfikat? Jaki to był papież? Gdyby chcieć się silić na jakieś określenie dopełniaczowe (papież... czego?), to wydaje się, że najtrafniejsze byłoby określenie Benedykta XVI "papieżem głębi". Rzucone przez Jana Pawła II hasło roku jubileuszowego "Duc in altum!" (Wypłynij na głębię!) Joseph Ratzinger zdawała się realizować w każdej chwili swojego pontyfikatu. Każdy jego krok był świadectwem głębokiej wiary. Właśnie dzięki temu, że wiara była w tekstach i wypowiedziach Benedykta zawsze priorytetem, były one tak głębokie, chociaż przecież jednocześnie tak proste, że zrozumiałe także dla nie-teologów.

Gdyby uszczegółowić tę głębię wiary, szkicując duchowy portret papieża Benedykta XVI, można by wskazać na trzy cechy. Benedykt to *człowiek*

suwerenny. Właśnie ta niezwykła niezależność sprawiała, że jego posunięcia nierzadko zupełnie nie mieściły się w przygotowanych dla niego przez media szablonach i schematach. Począwszy od imienia, które obrał oraz faktu, że przy całej miłości do swojego błogosławionego poprzednika, Benedykt nigdy nie starał się go naśladować; poprzez takie kroki, jak zdecydowane potępienie milczenia wobec pedofilii czy stworzenie możliwości pojednania z Kościołem skłaniających się ku temu anglikanów, aż po szokującą dla wielu decyzję o abdykacji – jego niezależne podejście do problemów i wyzwań musiało budzić szacunek.

O ile jednak niezależność myślenia i działania idzie zazwyczaj w parze z ekspansywną i przywódczą osobowością, w tym wypadku mieliśmy do czynienia z *człowiekiem skromnym*. Wielu traktowało jego pierwsze słowa jako następcy św. Piotra, że oto po wielkim papieżu Bóg powołał zwykłego i skromnego robotnika w winnicy pańskiej, raczej jako wyraz kokieterii i pozowanej skromności. Jednak bardzo szybko się okazało, że 265 Biskup Rzymu jest naprawdę skromnym człowiekiem, przyznającym się do swoich błędów, nie epatującym ani swoją ogromną wiedzą, ani władzą, jaka została złożona w jego ręce. Można powiedzieć, że Benedykt nie potrafił, ale także nie chciał wykorzystywać możliwości socjotechnicznych, by wyrzeć jeszcze większe wrażenie na swoich słuchaczach i obserwatorach. Trudno go porównywać ze słynnymi mówcami czy kaznodziejami, a przecież kiedy swoim łagodnym głosem i bardzo oszczędną, niemal nieporadną gestykulacją wykladał ewangeliczne teksty, nie sposób było go nie słuchać. Przemawiała przez niego siła prawdy Ewangelii, ale też głębia i prostota, z jaką wnikał w Dobrą Nowinę Chrystusa.

Jego suwerenność i jego skromność łączyły się z jeszcze jedną cechą. Papież Benedykt XVI pozostanie w historii Kościoła jako *wybitny umysł*. Jedynie

ktoś, kto nie zna dorobku teologicznego Józefa Ratzingera/Benedykta XVI może twierdzić, że był to papież, którego prześcignęły czasy i dlatego musiał uznać się za pokonanego. Lektura jego tekstów pokazuje coś wręcz przeciwnego. Spotykamy w nich umysł na miarę dawnych ojców Kościoła, mistrzów pierwszych wieków, zdolnych do uchwycenia całościowej perspektywy, i to zarówno diachronicznej (a więc wyjaśniającej meandry historycznego rozwoju i uwarunkowań wiary), jak i synchronicznej (a więc zbierającej w jedną całość współczesne idee, tendencje, diagnozy). Właśnie ta umiejętność sprawiła, że Benedykt XVI był zapraszany i słuchany nawet przez tych, którzy nie podzielali jego poglądów, jak to np. pokazała jego wizyta w Wielkiej Brytanii.

Po ogłoszeniu decyzji o abdykacji nie brak było komentarzy porównujących ją do postawy Jana Pawła I, który mimo nacisków i sugestii pozostał na Stolicy Piotrowej do śmierci. Postawa mocno przygarbionego, pozbawionego głosu papieża-Polaka była niewątpliwie swoistą katechezą o cierpieniu, ale także wsparciem dla ludzi starych, schorowanych, bliskich śmierci. Wbrew pozorom również tak diametralnie odmienna decyzja Benedykta może być postrzegana w kategoriach symbolicznych, w kategoriach znaku. Świat nie jest w stanie jej uchwycić, ponieważ postrzega jego abdykację jedynie jako *odejście* od służby, rezygnację, a nawet kapitulację. Tymczasem trzeba zapytać nie o to, od czego papież odchodzi, ale dokąd się udaje. Jego zanurzenie się w modlitwę zwraca uwagę na kluczowe dla Kościoła znaczenie życia konsekrowanego, na szeregi nieobecnych w codziennych medialnych przepychankach mnichów i mniszki, zakonników i zakonnice, ludzi Boga. Na ich służbę, wprowadzie mało dostrzegalną i mało docenianą, a jednak zapewniającą Kościołowi coś rodzaju nieustannej duchowej dializy, oczyszczenia życia przez pokutę i modlitwę, bez których najlepsza watykańska dyplomacja byłaby jedynie żalosną maskaradą. Papież dołącza do szeregu tych, którzy w imieniu

Kościół zmagający się z własnym grzechem i z inteligencją złą w świecie niestrudzenie codziennie stają przed Bogiem z modlitwą i gotowością do ofiarnej miłości.

Wśród ostatnich wypowiedzi odchodzącego papieża można doszukiwać się czegoś w rodzaju jego duchowego testamentu. Dla mnie to, co najcenniejsze w jego osobowości i co ją jednocześnie bardzo trafnie opisuje, zawarte zostało w zakończeniu przemówienia w czasie ostatniej audiencji w przeddzień oficjalnej abdykacji: "Bóg kieruje Kościołem. Zawsze go wspiera, a w szczególności w najtrudniejszych chwilach. Nigdy nie możemy stracić tej perspektywy wiary, która jest jedyną prawdziwą perspektywą drogi Kościoła i świata. W naszym sercu, w sercu każdego z was niech będzie zawsze radosna pewność, że Pan jest blisko nas i ogarnia nas swoją miłością".

Kwiecień 2013

Czas na Latynosa

W nieco ponad miesiąc od ogłoszenia rezygnacji z urzędu przez Benedykta XVI Kościół otrzymał nowego papieża. Zaskoczenie było kompletne. Jeszcze rano w dniu wyboru media donosiły – jak zwykle "z dobrze poinformowanych źródeł" –, że dwaj inni kandydaci "idą łeb w łeb", dzieląc między siebie głosy kardynałów zebranych na konklawe. Zamęt w ekipach sprawozdawczych, którym w pierwszej chwili brakowało materiałów o nowym papieżu, pokazał, jak "dobrze" poinformowane były ich źródła...

Nowy papież jest w jeszcze większym znaczeniu nowy, niż swego czasu był Karol Wojtyła: pierwszy spoza Europy, pierwszy, który przyjął imię Franciszek, pierwszy jezuita na Stolicy Piotrowej. Jego pierwsze decyzje

potwierdzają, że będzie to pontyfikat gestów łamiących utarte zwyczaje i watykańską etykietę. Wydaje się jednak, że mimo tego będzie to także pontyfikat kontynuacji w najlepszym tego słowa znaczeniu. Lektura udostępnionych polskiej opinii publicznej homilii kardynała Jorge Mario Bergoglio pokazuje pasterza z wyraźną pasją społecznikowską, który jednak pozostaje wierny nauce dogmatycznej i moralnej Kościoła i trwa niezłomnie przy jej głównych liniach: prymacie Chrystusa, katolickiej eklezjologii, ochronie życia ludzkiego od poczęcia do naturalnej śmierci, katolickiej etyce seksualnej czy kapłańskim celibacie.

Po początkowym zaskoczeniu (bukmacherzy dawali mu jedynie 4 % szans na wybór!) i pierwszej nagonce medialnej związanej z rzekomą współpracą z juntą wojskową i współwiną za więzienia i tortury zaangażowanych społecznie kapłanów, nadszedł czas na spokojne komentarze pierwszych wypowiedzi i decyzji papieża Franciszka. Nowy papież nie mieści się w żadnych szablonach i to nie tylko tych, którymi posługują się media, ale nawet tych, jakie charakteryzują spojrzenie na papieństwo osób wierzących. Jego mocne wyakcentowanie pomocy potrzebującym i spraw socjalnych należy właściwie do repertuaru idei lewicowych, jednak nie sposób posądzać Franciszka ani o sympatie z ideologią lewicową, ani też z tak nastawioną teologią wyzwolenia, którą zdecydowanie swego czasu krytykował. Jego niekonwencjonalne, spontaniczne zachowania i krótkie homilie wskazują na osobowość i dynamikę charakterystyczną dla człowieka czynu, a jednak trudno nie dostrzec duchowej głębi i ukierunkowania na samo centrum wiary i teologii - na Jezusa Chrystusa.

Tym, co nakazuje ostrożność w ocenie nowego papieża nawet krytykom takich zachowań, jak np. pozostanie w domu św. Marty zamiast przenosin do apartamentów papieskich, jest przeszłość kardynała Bergoglio. Jego pierwsze gesty i słowa bardzo wyraziście współbrzmiały z całym dotychczasowym stylem

życia argentyńskiego hierarchy. Franciszek jest po prostu pasjonatem Ewangelii, który przeżywa ją całym sobą, kocha ludzi i chce być blisko nich, zdecydowanie usuwając wszelkie zbędne bariery. Zawsze był w po prostu pasterzem dla powierzonej mu Bożej owczarni.

Franciszek bardzo dobitnie opisał postawę pasterza w homilii w czasie Mszy św. na poświęcenie krzyżma w Wielki Czwartek. W swoim prostym, bardzo komunikatywnym stylu Franciszek szkicuje główne linie teologii kapłaństwa. Centralnym pojęciem jest tutaj namaszczenie, które odnosi się nie tylko do wybranych do służby ołtarza, ale całego ludu Bożego, który jest przecież nazwany Ludem Kapłańskim. Kapłan zostaje namaszczony właśnie po to, by ze swego namaszczenia udzielać ludowi. *Dobrego kapłana poznaje się po tym, jak namaszczony jest jego lud. [...] Nasi wierni przyjmują Ewangelię głoszoną z namaszczeniem, przyjmują, kiedy głoszona przez nas Ewangelia przenika do ich życia codziennego, kiedy spływa jak olejek Aarona aż po krańce rzeczywistości, kiedy oświeca sytuacje graniczne, „peryferie”, gdzie wierni są najbardziej narażeni na napaść tych, którzy pragną ograbić ich z wiary. [...] A kiedy czują, że woń Pomazańca, Chrystusa, dociera za naszym pośrednictwem, czują się zachęcani, aby powierzyć nam to wszystko, co pragną otrzymać od Pana.* Kapłan jest zatem kimś, kto ma "pachnieć Chrystusem", ale jednocześnie nie ma to być jakieś pachnidło salonowe, które ma uświetniać wystawne bankiety i otaczać się luksusami. Namaszczony Bożą łaską kapłan musi nieustannie wychodzić z własnego egoizmu i skłonności do zamykania się w kręgu własnych spraw i problemów i zanosić woń tego namaszczenia tam, gdzie go najbardziej brakuje. A wtedy będzie także, jak Jezus, zewsząd obleżony przez codzienne problemy ludzi, naznaczony nimi, w pewnym sensie także "pachnący" jak owce, do których został posłany. Papież nie ma złudzeń: kryzys tożsamości kapłańskiej i niezadowolenie niektórych księży, którzy w końcu stają

się smutni, płynie właśnie z braku postawy służebnej wobec powierzonej im Bożej owczarni. *W końcu stają się [oni] smutni, zamieniają się w pewien rodzaj kolekcjonerów antyków albo nowinek, zamiast być pasterzami „pachnącymi jak owce”.* I właśnie ten podwójny "zapach" najlepiej charakteryzuje nowego papieża: Franciszek bardzo intensywnie "pachnie Chrystusem", a jednocześnie niewątpliwie "pachnie jak owce".

Maj 2013

Rozcieńczony patriotyzm

W języku niemieckim istnieje idiom, który, jak czytamy w słownikach, używany jest na określenie powierzchownie sprawnej, pokojowo-beztroskiej fasady w społeczeństwie; używa się wtedy, gdy prawdziwe problemy nie są rozwiązywane, ale zamykane pod dywan. Idiom ten składa się z trzech słów: "Friede, Freude, Eierkuchen" czyli "Pokój, radość, omlety". Komuś, kto zna niemiecki, powiedzenie to przychodzi na myśl niemalże automatycznie, gdy przypatruje się akcji, który 2 maja – w Święto Flagi rozpoczęła radiowa Trójka wraz z "Gazetą Wyborczą" pod patronatem Prezydenta RP Bronisława Komorowskiego. W ramach akcji "Orzeł może", zorganizowanej wielkim nakładem sił i środków, zaprezentowany został wielki czekoladowy orzeł, a barwą dominującą w czasie pochodów i happeningów był kolor różowy (ponoć dlatego, że jest to kolor logo Programu III Polskiego Radia i że jest symbolem optymizmu). Różowo-białe kolory mają być znakiem patriotyzmu bardziej dostosowanego do współczesności, patriotyzmu nie cierpiętniczego, nie smutnego, nie wspominającego jedynie martyrologii ani krwawych ofiar wojen i

powstań, a skoncentrowanego na podkreślaniu osiągnięć i pozytywów i na wspólnym świętowaniu.

I co w tym złego? Tak zwolennicy tej akcji odpowiadają na krytykę, której rozmiarami - a jednocześnie stosunkowo skromnym echem samej akcji - chyba sami są zdumieni. No właśnie - co? Dlaczego ta akcja nie porywa milionów? Czy podkreślanie pozytywów i nawoływanie do optymizmu miałyby być czymś nieodpowiednim? Oczywiście, że nie! A mimo wszystko nie sposób oprzeć się wrażeniu nieautentyczności, sztuczności, zadekretowanego optymizmu, różowej fasady, która ma zakryć i unieważnić głęboki podział polskiego społeczeństwa i jego faktyczne problemy. Ma odwrócić uwagę od tego, co faktycznie dzieli Polaków, jak chociażby ciągle niewyjaśnione do końca przyczyny i przebieg katastrofy smoleńskiej czy też sprawa wolności słowa w mediach.

Obok tych aktualnych nabrzmiałych problemów jest jednak jeszcze coś istotniejszego. Zapewne zawsze będą różnice w postrzeganiu i definiowaniu patriotyzmu, polskiej historii i bieżącej kondycji narodu. Jednak to, czego jesteśmy właśnie świadkami, niebezpiecznie przekracza i pogłębia to naturalne zróżnicowanie. Trudno nie dostrzec nurtu, który jest wzmacniany przez rządzących i wpływowe media, a który uczy sceptycyzmu, a nawet pełnego ironii i cynizmu odniesienia do tradycyjnego polskiego patriotyzmu, który z dumą i szacunkiem pielęgnuje pamięć przeszłości. Ten nowy, rozcieńczony patriotyzm nie chce już pielęgnować pamięci o bohaterach i nie chce kształtować w Polakach postawy gotowości do ofiary. Jemu wystarcza powierzchowna lojalność pojedynczego puzzla w układance. Wyśpiewana przez Marię Peszek deklaracja tego nowego patriotyzmu musi szokować: *"[...] po kanałach z karabinem nie biegałabym, nie oddałabym ci Polsko ani jednej kropli krwi. Sorry, Polsko, wybac mi. [...] Płacę abonament i za bilet płacę. Chodzę na*

wybory nie jeżdżę na gapę. Tylko nie każ mi umierać, nie każ walczyć, nie każ ginąć, nie chciej Polsko mojej krwi". Dla takiej mentalności niezrozumiała jest dawna miłość do Ojczyzny, nie ma już też żadnych wartości, za które warto jest umierać.

Historia przestaje być nauczycielką narodu, a staje się dziwną, niezrozumiałą i mroczną plątaniną wydarzeń, które nijak mają się do codziennej troski o indywidualny dobrobyt i dlatego spokojnie mogą zostać przesłonięte różowymi transparentami i zalane czekoladową masą. Taka redefinicja patriotyzmu oznacza w efekcie jego destrukcję. I zapewne ten kierunek przemian nie jest przypadkowy. Nowa Europa, która z taką skrupulatnością dbała o to, by w jej programowych dokumentach nie pojawiło się odniesienie do Boga, nie potrzebuje też silnej świadomości narodowej. Kto ją wykazuje musi zmierzyć się z zarzutem nacjonalizmu, a nawet faszyzmu. Nowy ład nie znosi wyrazistych barw. Woli ich rozcieńczoną i zmiękczoną formę, która imituje dawne wartości, a tak naprawdę zmierza do ich marginalizacji, a ostatecznie – likwidacji.

Dlatego też, gdy widzi się biało-różowy pochód i słucha się powtarzanych w mediach nieustannych narzekań, jak bardzo smutny i negatywny jest patriotyzm, odwołujący się do wspominania bohaterstwa i krwi tych, dzięki którym możemy żyć w wolnym kraju, ciśnie się na myśl gorzka diagnoza: "Pokój, radość, omleły"....

Czerwiec 2013

Chcę wyglądać jak szmata, ale nie wolno ci myśleć, że nią jestem

Uczestniczki majowego "Marszu szmat", który miał być wyrazem sprzeciwu wobec bagatelizowania gwałtu, stygmatyzacji jego ofiar i przenoszenia na nie odpowiedzialności za gwałt, twierdziły, że bez skandalu nikt nie zwróciłby uwagi na ten palący problem. Stąd nie tylko szokująca nazwa ich happeningu (pochodząca zresztą z importu z Kanady), ale także zwracające uwagę mediów stroje (a raczej ich brak) uczestniczek i uczestników marszu. Odnosnie do samej oceny przemocy seksualnej nie ma w zasadzie wielkich kontrowersji. Nie ulega wątpliwości, że gwałt jest szczególnie odrażającą i podłą formą przemocy seksualnej, która pozostawia spustoszenie w psychice ofiar. Nie może być zgody na tego typu ekscesy, a ich sprawcy powinni być ścigani z całą surowością prawa.

Czy jednak ktoś, kto zobaczył relacje i zdjęcia z "Marszu szmat" rzeczywiście odniósł wrażenie walki o zaprzestanie przemocy wobec kobiet? Przestanie było inne: Jeżeli kobieta staje się ofiarą gwałtu, nie wolno pytać o jej zachowanie i strój, gdyż rzekomo dopatrywanie się jakiegokolwiek związku między tego rodzaju niewerbalnym komunikatem a dramatem gwałtu jest wyrazem przerzucania odpowiedzialności na ofiary. Do gwałtu ponoć nie można nikogo sprowokować, a wyzywający ubiór i prowokujące zachowanie nic nie znaczą. Są po prostu wyrazem seksualnego samostanowienia i wolności kobiety i nie powinny ani dziwić, ani skłaniać nikogo do agresji seksualnej. Mężczyźni (potencjalni gwałtciiele) nie powinni też dopatrywać się w nich jakiegokolwiek przyzwalającego sygnału.

Trudno nie uznać takich tez za absurdalne. Nie od dzisiaj w obszarze seksuologii wskazuje się na to, że najważniejszym i decydującym organem seksualnym człowieka jest mózg. Badania sprawców przemocy seksualnej wskazują na to, że sam akt gwałtu nie przychodzi z nikąd, przypadkowo. Gotowość do agresji seksualnej jest najpierw aktem wewnętrznym, związanym z wulgarnym "umeblowaniem" duchowego świata, z robaczywą wyobraźnią, z przyzwyczajeniem do patrzenia na kobietę jako na obiekt seksualny. W sprzyjającej sytuacji i wobec konkretnej kobiety gotowość ta przeradza się w czynny akt przemocy seksualnej. Chociaż istnieje szereg różnych, czasami diametralnie odmiennych diagnoz odnośnie do związku konsumowania pornografii z aktami gwałtu, to jednak nikt nie kwestionuje faktu, że mężczyźni, którzy stali się sprawcami gwałtu, wcześniej, nierzadko nałogowo, konsumowali pornografię. To właśnie dzięki tego typu materiałom sprawcy przyzwyczajają się do wyuzdanych, naznaczonych przemocą, a nierzadko także zboczonych zachowań seksualnych. Wskazywanie na związek pornografii i gotowości do gwałtu wcale nie oznacza przerzucania winy na ofiary gwałtu czy też usprawiedliwiania sprawców. Oznacza jedynie poszukiwanie właściwej diagnozy, bez której żadna terapia nie okazuje się możliwa. Nie ma autentycznego potępienia gwałtu bez potępienia bezmyślnego, genitalnego seksu, traktowanego jako towar, który się otrzymuje zawsze, kiedy przychodzi na to ochota. Wiarygodny protest wobec gwałcicieli powinien więc wyrażać się przede wszystkim w sprzeciwie wobec producentów pornografii oraz osób, które biorą udział w produkcjach pornograficznych, szczególnie gdy przyczyniają się do powstawania scen przemocy seksualnej. I wobec powszechnej dostępności tego typu materiałów, które podsycają i utrwalają schematy myślowe cechujące gwałcicieli. O niczym takim w "Marszu szmat" nie było mowy.

Kiedy się ogląda plakaty niesione w "Marszu szmat", typu np.: "Jedyny gwałt, który akceptuję, to samogwałt", "My pussy, my choice" czy też "Napalony? Obsłuż się sam", odnosi się wrażenie, że wzbudzanie współczucia dla ofiar gwałtów i sprzeciw wobec gwałcicieli to jedynie okazja do kolejnej odsłony walki o społeczną rewolucję w postrzeganiu płci i jej znaczenia. Organizatorzy "Marszu szmat" to promotorzy genderowej rewolucji. Cel tego typu organizacji jest jasny: performatywne łamanie norm seksualnych poprzez zachowania obsceniczne i prowokacyjne oraz promowanie nie heteroseksualnych zachowań, również takich, które nawet w liberalnych społeczeństwach mogą uchodzić za dewiacje. A wszystko po to, by złamać bariery kultury seksualnej i moralności i zniwelować etykę seksualną (jeżeli w ogóle o takiej może być jeszcze mowa) do jednego czynnika: etycznie dopuszczalne jest to, co dobrowolnie akceptowane. Reszta jest dowolna i dlatego nieistotna. Ukazując toksyczne skutki rewolucji genderowej, Gabriele Kuby w swojej najnowszej książce pt. *Globalna rewolucja seksualna. Likwidacja wolności w imię wolności* (zob. Wydawnictwo Homo Dei 2013 - polecam!) wskazuje na to, że jednym z efektów konsumowania pornografii jest osłabienie hamulców zapobiegających stosowaniu przemocy seksualnej. Promowanie seksu pozbawionego jakichkolwiek norm i ograniczeń, ale także głębszych znaczeń, traktowanego wyłącznie jako dobro konsumpcyjne, jest w efekcie ogniwo w bagatelizowaniu, a w dalszej konsekwencji w sprzyjaniu przemocy seksualnej.

Lipiec 2013

Pamiętać, by zachować tożsamość

O pamięci i tożsamości - dwóch wielkich słowach, które stanowią też tytuł jednej z książek Jana Pawła II, nie sposób nie myśleć, obserwując coraz częstsze próby rewizji najnowszej historii Polski. Dwa wydarzenia z ostatnich tygodni były wyraźnym potwierdzeniem tego trendu. Jednym była reakcja części środowiska akademickiego na protesty w trakcie wykładów prof. Zygmunta Bauman'a we Wrocławiu i Poznaniu. Drugim – obchody 90-rocznicy urodzin gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Przy całej różnicy życiorysów i odpowiedzialności obydwu panów, jedno łączy ich bezspornie: deklarowane zewnętrznie przekonanie o moralnej poprawności, wręcz historycznej konieczności czynnego i wieloletniego współdziałania z systemem komunistycznym.

Warto w tej niewątpliwie wielowymiarowej i skomplikowanej kwestii wskazać na dwa aspekty. Jednym z nich jest postawa samych bohaterów wspomnianych wydarzeń. Nawet jeżeli proste, czarno-białe oceny nie są w stanie w pełni odzwierciedlić motywów i przyczyn, jakie stały u podstaw ich dawnych zachowań i decyzji, można i trzeba by oczekiwać od nich, a także od wielu innych, którzy aktywnie współ-budowali system zniewolenia polskiego narodu przez dziesięciolecia, publicznego aktu przeproszenia i ekspiacji. Ludzką rzeczą jest błędzenie. Szczere oddanie sprawie, która wydaje się tak wielka, że jest w stanie zawładnąć całą osobą, splatające się nierzadko z egocentryzmem, pychą, próżnością, chęcią dominacji i panowania, dają przecież o sobie znać w mniejszym czy większym stopniu w życiorysie niemal każdego człowieka. Zrozumienie dla tego wymiaru ludzkiej kondycji jednak nie wystarczy. Nie

wolno przechodzić do porządku dziennego nad własną przeszłością, szczególnie wtedy, gdy dokonywane wybory i decyzje powodowały krzywdę i cierpienie innych osób. Rachunek sumienia i żal za grzechy są nie tylko nieodzownymi warunkami każdej dobrej spowiedzi, ale fundamentalnym wymogiem oczyszczania ludzkiej pamięci, a przecież umiejętność jej oczyszczania jest warunkiem prawości serca. W przypadku wielu osób związanych bezpośrednio z systemem komunistycznym nie tylko nie widać oznak takiego oczyszczenia, ale wręcz nie widać woli jego dokonania. Zamiast tego mówi się po prostu o wyzwaniach chwili i okolicznościach, które spowodowały takie, a nie inne reakcje.

Jest jeszcze drugi aspekt tego zagadnienia - postawa środowisk, które tworzą coś w rodzaju dworu fetującego osoby związane z systemem komunistycznym jako uczciwych (subiektywnie i rzekomo zgodnie z wymogiem tamtych czasów) obywateli, patriotów i aktywistów, których ówczesna postawa nie tylko nie sprzeciwia się, ale wręcz predestynuje ich do bycia autorytetami moralnymi w dzisiejszym społeczeństwie. W tle takich postaw można bez trudu rozpoznać moralny relatywizm – pogląd, dla którego nie ma już obiektywnej miary moralnej, nie ma już dobra i zła jako takich, a pozostaje jedynie moralna integralność pojedynczej jednostki. Jeżeli tylko działa ona zgodnie ze swoim aktualnym przekonaniem, działa moralnie poprawnie i nikt nie powinien stawiać jej wyborów pod znakiem zapytania – tym mniej w przypadku, gdy były dokonywane przed laty. W świetle takiej wizji moralności ludzie, którzy wybierali sprzeciw wobec zniewoleniu sumień w czasach komunizmu i płacili za to niejednokrotnie bardzo wysoką cenę, są tak samo godni szacunku, jak ci, którzy wtedy wybierali kolaborację, przyczyniając się do cierpienia tych pierwszych. Dla relatywizmu każda próba rozliczenia, chociażby jedynie moralnego, sprawców z powojennych dziesięcioleci jest jedynie wyrazem

rewanżyzmu, postawy zapiekłej, zamkniętej, zwróconej ku przeszłości. Nie chodzi już zatem nawet o "grubą kreskę" jako formę zapomnienia dawnych win, ale wręcz o gloryfikowanie postaw niegodnych, o rewizję historii, a ostatecznie o zbudowanie nowej tożsamości, która już nie chce i nie potrzebuje uczyć się z historii. Dlatego nie trzeba jej już też pamięci. Historyczna amnezja i wyłączny zwrot ku przyszłości są jej odpowiedzią na pytania ofiar, które wybrały godność i wolność sumień zamiast spolegliwej współpracy. Tak zbudowana tożsamość podobna jest do gładko skrojonego klocka, który będzie pasował do każdej układanki, bo jej największą cnotą jest lojalność wobec rządzących (kimkolwiek by byli) i pragmatyzm w codziennych wyborach.

Jakże inna jest tożsamość, o której mówił Jan Paweł II. Jest to tożsamość, która buduje na prawdzie, także na prawdzie historycznej. Pamięć o prawdzie z tamtych lat nie może zostać po prostu zatarta, bo od niej zależy przyszłość. *Pamięć jest tą siłą, która tworzy tożsamość istnień ludzkich, zarówno na płaszczyźnie osobowej, jak i zbiorowej. Przez pamięć bowiem w psychice osoby tworzy się poniekąd i krystalizuje poczucie tożsamości* (Jan Paweł II, *Pamięć i tożsamość*, Kraków 2005, s. 149).

Sierpień 2013

Świetlista encyklika

Już po lekturze kilku pierwszych akapitów nowej encykliki papieża Franciszka, zatytułowanej *Lumen fidei* (Światło wiary) staje się jasne, że nie jest to dokument, po którym można się jedynie powierzchownie przemknąć. Tekst nowej encykliki jest niemalże w dosłownym znaczeniu tego słowa tak "gęsty", że zasługuje na to, by był kosztowany po trosze, z wielką dozą refleksji. W dobie

wielu ataków na wiarę chrześcijańską można by oczekiwać mocnych słów i polemik oraz zdecydowanej, ostrej dyskusji z głosami krytycznymi, jednak w encyklice nie odczuwa się tonu polemicznego. Jeżeli poddawane są krytyce pewne poglądy, to pojawia się spokojna, rzeczowa argumentacja. Odnosi się wrażenie wielkiego pokoju i pewności, że piękno wiary chrześcijańskiej samo w sobie jest przekonujące.

Encyklika o wierze dopełnia zamierzony jeszcze przez Benedykta XVI tryptyk dotyczący Boskich cnót, ale okoliczności jej ogłoszenia, a więc to, że podpisana została już przez papieża Franciszka, sprawiają, że jest to wyjątkowy dokument. Rozpoznać w nim można wyraźnie rękę emerytowanego poprzednika obecnego Ojca świętego, ale jednocześnie zbiera on i wyraża w piękny i głęboki sposób wielowiekowe doświadczenie Kościoła. Uważny czytelnik nie będzie mógł oprzeć się wrażeniu, że jest on pełen światła. Właśnie motyw światła, który pokazuje się już w tytule, przewija się niemalże na każdej stronie encykliki.

Najpierw jest wiara światłem dla każdego pojedynczego człowieka. To podstawowy wymiar wiary chrześcijańskiej, która nie jest jedynie opowiedzeniem się za pewną koncepcją filozoficzno-teologiczną, ale *rodzi się w spotkaniu z Bogiem żywym [i] jawi się jako światło na drodze wskazującej kierunek naszej wędrówki w czasie* (nr 4). Ten osobisty wymiar wiary jest nie do zastąpienia. Tak, jak Syn Boży stał się człowiekiem i objawił się w ciele, tak wiara chrześcijańska nie jest jedynie pewną intelektualną operacją, ale ogarnia całego człowieka z jego ciałem, duszą, umysłem, relacjami i światem, w którym żyje. Każdy wierzący wie, że wiara nie daje natychmiastowych odpowiedzi na wszystkie pytania codzienności. Jak pisze papież Franciszek, *wiara nie jest światłem rozpraszającym wszystkie ciemności, ale lampą, która w nocy prowadzi nasze kroki, a to wystarcza, by iść* (nr 57).

Nie oznacza to jednak, że wiara jest sprawą "prywatną", jak się dzisiaj często twierdzi – i tekst encykliki podkreśla to dobitnie. *Można [powiedzieć]w pierwszej osobie: "wierzę" tylko dlatego, że należy się do wielkiej wspólnoty, tylko dlatego, że mówi się również: "wierzymy" (nr 39).* Dopiero owo wielkie "my" jest przestrzenią, dzięki której światło wiary jest przekazywane, chronione i ciągle na nowo rozpalane. Bez wsparcia wspólnoty wierzących – Kościoła, wiara traci swoją miarę, zostaje pozbawiona równowagi i nie znajduje wystarczającej przestrzeni, aby się utrzymać (nr 22).

Wiara nie jest sprawą prywatną także dlatego, że ma istotny wymiar społeczny. Kto pragnąłby zamknąć chrześcijańską wiarę do zakrystii, nie znajdzie w pierwszej encyklice papieża Franciszka wsparcia. Papież bardzo mocno podkreśla rolę, jaką wiara pełni w kształtowaniu właściwych podstaw dobra wspólnego. Bez troski o nie każde społeczeństwo staje się nieuchronnie społeczeństwem roszczeniowych egoistów, co prędzej czy później musi doprowadzić do katastrofy. Jak pisze Franciszek, *wiara pozwala zrozumieć architekturę relacji ludzkich, ponieważ dostrzega ich głęboki fundament i ostateczne przeznaczenie w Bogu i w Jego jedności. Dzięki temu oświeca sztukę budowania, służąc dobru wspólnemu (nr 50).* "Sztuka budowania" jest umiejętnością, której, jak świeżej wody, potrzebują współcześni politycy. Wypychanie wiary z przestrzeni publicznej sprawia, że społeczeństwo budowane jest bez fundamentów, niejako "w powietrzu", a to nie wróży dobrze jego przyszłości.

Lumen fidei wejdzie do historii Kościoła niewątpliwie jako traktat o wierze Kościoła u początku XXI stulecia. Traktat, w którym dochodzą do głosu problemy pojedynczych wierzących i całych społeczeństw, ale także udzielane są inspirowane wielowiekowym wysiłkiem Kościoła odpowiedzi na te problemy. Oby nie był to kolejny dokument Magisterium, który zostanie wprowadzie

wydany w złożonych tomach oprawionych w skórę, ale którego wierzący nie będą znali. Tekst pierwszej encykliki papieża Franciszka może i powinien stać się dla każdego światłem oświecającym drogę na tyle, by móc pewnie postawić następny krok.

Wrzesień 2013

Pedofilia w Parlamencie Europejskim

Nikogo już nie dziwią nagłówki w stylu „Pedofilia w Kościele”, lansowane przez szczególnie zatroskanych o los i jakość wspólnoty wierzących w Chrystusa dziennikarzy. Odwołanie przez papieża Franciszka polskiego arcybiskupa Józefa Wesołowskiego ze stanowiska nuncjusza apostolskiego w Dominikanie w oparciu o oskarżenie o pedofilię, sprawia, że tego typu nagłówki zapewne znowu będą się obficie pojawiać. Nie ulega żadnej wątpliwości, że praktyki pedofilskie są odrażającym złem, krzywdą, która domaga się ukarania winnych – kimkolwiek by byli. Szybka reakcja papieża Franciszka może tylko świadczyć o determinacji Stolicy Apostolskiej w tej materii.

Tym, co musi dawać do myślenia, jest jednak sposób, w jaki te same media, które są tak zatroskane o Kościół, traktują przypadki pedofilii ujawnione w środowiskach pozakościelnych. W ostatnich miesiącach ujawnianych jest coraz więcej szczegółów związanych ze skalą zaangażowania w pedofilską propagandę niemieckiej Partii Zielonych („Die Grünen”). W pierwszym programie partyjnym z 1980 partia ta wpisała jako jeden z celów walkę o legalizację pedofilii. Zieloni stali się na całe dziesięciolecie polityczną platformą dla grup pedofilskich i propagandy na rzecz legalnego seksu z dziećmi. Uzasadnieniem dla tych inicjatyw była rzekoma wrogość społeczeństwa i

publicznej moralności wobec wyzwolonej seksualności i swobody jej dowolnego uprawiania. Właśnie dyskryminacja tej wolności – jak twierdzili zieloni zwolennicy pedofilii – a nie troska o dzieci stała u podstaw sprzeciwu wobec jej legalizacji. Postulaty te były podtrzymywane przez „Zielonych” do początku lat dziewięćdziesiątych. Wielu członków tej partii, którzy wtedy uchwalali tego typu inicjatywy, do dzisiaj sprawuje odpowiedzialne funkcje w polityce.

Należy do nich m.in. Daniel Cohn-Bendit, deputowany do Parlamentu Europejskiego, a w 1968 r. jeden z czołowych aktywistów rewolucji seksualnej, ikona europejskich środowisk lewicowych i lewackich. Cohn-Bendit nie skrywał nigdy swoich upodobań pedofilskich. W jednej z debat w 2009 r. określił swoją dwuletnią pracę w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku w alternatywnym przedszkolu jako flirt z dziećmi, który bardzo szybko przybrał charakter erotyczny. Wyznaje, że pozwalał pięcioletnim dziewczynkom rozpinąć swoje spodnie i odwzajemniał ich dotyk.

Oburzająca jest nie tylko przeszłość tego wpływowego eurodeputowanego, ale także jego dzisiejsza odpowiedź na zarzuty pedofilii. Komentując swoje zachowanie w tamtym czasie Cohn-Bendit stwierdza jedynie, że nie miał wtedy świadomości problemu, że taki był duch czasu, w ramach którego wiele mówiło się o dziecięcej seksualności. Napisano wtedy wiele bzdur, jak stwierdza, niektóre także jego własnego autorstwa, które z dzisiejszego punktu widzenia są nie do zaakceptowania. Poza tym chodziło jedynie o fantazje erotyczne. Nie sposób nie zapytać, czy opinia publiczna przyjąłaby takie usprawiedliwienia od któregoś z księży, którzy w tamtym czasie dopuszczali się pedofilii? Znaczna część ujawnionych w USA, Irlandii czy Niemczech przypadków pedofilii wśród duchownych przypada właśnie na lata po wybuchu rewolucji seksualnej 1968 r. Gdzie jest zatem okrzyk oburzenia w liberalnych i lewicowych mediach, podobny do tego, jaki towarzyszy każdemu

przypadkowi pedofilii w Kościele? Jak w tym świetle ocenić krok Partii Zielonych oraz władz fundacji Heinricha Bölla, które początkowo usiłowały zablokować do 2031 r. dostęp do archiwów z dokumentami o przeszłości Daniela Cohn-Bendita. Jak rozumieć blokadę, jaką znaczna część francuskich mediów bezskutecznie próbowała obłóżyć kompromitujące materiały dotyczące jego wystąpień?

Pedofilia jest strasznym przestępstwem naznaczającym wykorzystywane dzieci na całe życie i to niezależnie od tego, czy ich relacje z dorosłymi są dobrowolne czy wymuszone. Każdy z takich przypadków powinien być ścigany, a próby propagandy pedofilskiej – publicznie piętnowane. Zdecydowana walka z nią musi się dokonywać nie tylko w Kościele, ale wszędzie tam, gdzie się pojawia – także, a może przede wszystkim – w Parlamencie Europejskim.

Październik 2013

"Papież Franciszek znowu zaskoczył..."

To właśnie zdanie jest niewątpliwie najczęściej pojawiającym się tytułem na portalach internetowych w doniesieniach o wydarzeniach związanych z Watykanem. I trzeba przyznać, że nawet media niechętnie Kościołowi i z wielką pieczołowitością podkreślające jego braki i grzechy poświęcają obecnemu papieżowi wiele miejsca. Nie ulega wątpliwości, że żywa osobowość Franciszka i jego latynoski temperament, widoczny szczególnie w spontanicznych gestach i słowach oraz jego poczucie humoru sprawiają, że spotkania z nim bywają niezwykle sugestywne, czasami doprawdy zaskakujące. To, że Franciszek zrezygnował z przenosin do papieskich apartamentów i pozostał w domu św. Marty, że ustanowił komisję kardynałów jako ciało doradcze do

przeprowadzenia reformy Kurii Rzymskiej, że czasami sam nosi swoją teczkę, że nawiązuje bezpośrednią rozmowę z przypadkowo spotykanymi ludźmi, bywa doprawdy zaskakujące.

Przymiotnikiem tym jednak określa się czasami także treść papieskich przemówień, przy czym ze szczególną uwagą wychwytywane są – jak to zresztą miało miejsce także w czasie poprzednich pontyfikatów – wątki papieskich wypowiedzi dotyczące moralności seksualnej czy problemów bioetycznych. Trudno się w sumie temu dziwić, skoro właśnie w tych obszarach nauczanie Kościoła jest w bardzo wyraźny sposób odmienne od tego, co w rozwiniętych społeczeństwach dzisiejszego świata uznawane jest za wartościowe, godne człowieka, dobre i zasługujące na ochronę. Zdaniem komentatorów jednak właśnie w tej materii papież ma być rzekomo "zaskakująco" odmienny od swoich poprzedników. Niektórzy wręcz dostrzegają już oznaki radykalnej zmiany zasad moralności i dostosowania Kościoła do konsumpcyjnej mentalności świata.

Według takiego właśnie schematu skomentowano w mediach wywiad-rzekę, który papież Franciszek udzielił jezuickiemu czasopismu "La Civiltà Cattolica", *a który ukazał się we wrześniu 2013 r. Z ponad trzydziestostronicowego tekstu wyłowiono stwierdzenie papieża, że zbytnia koncentracja na tematyce moralnej jest błędem, co – jak podkreślali komentatorzy – miałoby oznaczać wycofywanie się Kościoła z głoszonych dotychczas zasad moralnych. Co jednak rzeczywiście powiedział papież? Nie możemy zatrzymywać się tylko nad kwestiami związanymi z [aborcją](#), małżeństwami homoseksualnymi i używaniem środków antykoncepcyjnych. To nie jest możliwe. Nie mówiłem zbyt wiele o tych rzeczach i zostało mi to wypomniane. Natomiast kiedy się o tym mówi, należy mówić z odniesieniem do*

konkretnej sytuacji. Opinia Kościoła jest znana, a ja jestem synem Kościoła i nie ma potrzeby mówić o tym bez przerwy.

Czy to papieskie stwierdzenie można uznać za zaskakujące? Na pewno nie jest ono takim dla kogoś, komu bliskie są sprawy wiary. Wystarczy sięgnąć do publikacji sługi Bożego Franciszka Blachnickiego, pochodzących przecież z okresu tuż po Soborze Watykańskim II, by dostrzec uderzające podobieństwa. Ks. Blachnicki często nawiązywał do rozróżnienia pomiędzy "sympatykami" chrześcijaństwa, którzy siłą przyzwyczajenia i tradycji wykonują praktyki religijne, a prawdziwymi wierzącymi, którzy przyjęli Jezusa jako osobistego Zbawiciela i Pana. Zwracał przy tym uwagę na podstawowy błąd, polegający na głoszeniu katechezy (a więc także, a czasami przede wszystkim, pouczenia moralnego) ludziom, którzy dogłębnie nie usłyszeli i nie przyjęli kerygmatu, a więc podstawowej Dobrej Nowiny o Bogu bezwarunkowo kochającym człowieka i gotowym ofiarować mu zbawienie w każdym momencie jego życia, jeśli tylko otworzy na Bożą łaskę swoje serce. W ten sposób wiara może stać się klatką złożoną z zasad, nakazów i zakazów; moralnym gorsetem, który boleśnie uciska w codzienności. Ktoś, komu teksty ks. Blachnickiego są bliskie, będzie czytał słowa papieża Franciszka z nieukrywaną radością: Głoszenie misyjne musi koncentrować się na tym, co podstawowe, co daje natchnienie i bardziej pociąga, na tym, co rozgrzewa serce, jak uczniów w drodze do Emaus. Musimy więc znaleźć nową równowagę, inaczej konstrukcja nauki moralnej Kościoła może runąć jak domek z kart, może utracić swą świeżość i zapach Ewangelii.

Nie oznacza to unieważnienia zasad moralności chrześcijańskiej, ale jest wezwaniem do nowej ewangelizacji, która koncentruje się na głoszeniu prawd podstawowych. Dopiero "rozgrzane serce" będzie zdolne do zmiany życia, do porzucenia zła i – jak pisze św. Paweł – do "przyobleczenia nowego człowieka". Jeżeli coś można w tym kontekście uznać za zaskakujące, to chyba jedynie to, że

te oczywiste prawdy wiary chrześcijańskiej mogą powodować tak wielkie zdumienie mediów. Niezależnie jednak od tego słowa papieża Franciszka budzą nadzieję na nowe otwarcie w przekonującym głoszeniu współczesnemu światu Bożego zbawienia.

Listopad 2013

Nadzieja ich pełna jest nieśmiertelności

Te słowa z Księgi Mądrości (3,4) dobrze opisują postawę, jaką chrześcijanie przyjmują wspominając swoich zmarłych. Każdego roku w listopadzie na portalach internetowych pojawiają się wykazy osób zmarłych w kończącym się roku. Przeglądając te zaduszkowe katalogi nie sposób nie przywoływać słów, gestów i wydarzeń, nierzadko dramatycznych, które kojarzą się z tymi, którzy odeszli. Wraz z ich śmiercią cichną emocje, pojawia się pewien dystans i człowiek staje się bardziej skłonny do zatrzymania w zadumie, niż do kontynuowania sporów bądź też żarliwego zachwyty, które jeszcze niedawno towarzyszyły wirtualnym spotkaniom z tymi ludźmi.

Zwyczaj odwiedzania cmentarza, zapalania zniczy i trwania przez kilka chwil w zadumie nad grobami osób bliskich jest w Polsce bardzo popularny i to niezależnie od różnic światopoglądowych. Warto jednak zdać sobie sprawę z fundamentalnej różnicy znaczeń, jaką niesie ze sobą ten zwyczaj w przypadku osób wierzących i niewierzących. Jest coś, co nas niewątpliwie łączy ponad wszelkimi różnicami światopoglądowymi: odwiedzając groby bliskich wspominamy ich z bólem i wdzięcznością i przez chwilę dostrzegamy perspektywę własnej śmierci, owiewani chłodem listopadowego wiatru. Jednak istnieje także fundamentalna różnica. Smutek odchodzenia i śmierci jest inny,

gdy jest przeżywany w świetle wiary. W przypadku wierzących chrześcijan zaduszkowa zaduma jest zawsze zanurzona w perspektywie Ewangelii, która zapewnia nas, że życie człowieka zmienia się, ale się nie kończy. Przemieniająca moc Bożej łaski, ta sama, która sprawia, że chleb i wino stają się ukrytą Obecnością Chrystusa, jest w stanie także dokonać cudownej i przyoblec, jak mówi Paweł, "to, co zniszczalne w to, co niezniszczalne" (por 1 Kor 15, 53).

Chrześcijańska "sztuka umierania", jeżeli można tu użyć tego średniowiecznego sformułowania, polega na tym, że zarówno na życie, jak i na śmierć człowiek uczy się patrzeć z płynącym z fundamentalnym zastrzeżeniem, z płynącym z wiary fundamentalnym "ale". Owo "ale" pozwala z jednej strony zachować dystans wobec wszystkiego, za czym się na co dzień uganiamy, wobec rzeczy, których pragniemy, szczytów, na których nam zależy, przeżyć, które chcemy zachować. Próba życia jakby-Boga-nie-było ujawnia się właśnie w postawie kurczowego zakleszczenia na tym, co doczesne, jak gdyby człowiek mógł przez to usunąć perspektywę przemijania. Rzeczom, wydarzeniom i przeżyciom nadaje się wtedy wartość absolutną, a ponieważ codzienność ciągle na nowo podważa taką postawę, człowiek stara się za wszelką cenę pomnażać swoją kolekcję wyjątkowych sprzętów i doświadczeń, łudząc się, że na końcu tej piramidy próżności czeka go ostateczne zaspokojenie. Pamięć o śmierci pozwala nam zachować ten niezbędny dystans do wszystkiego, co przemijające, dzięki któremu człowiek nie zaprzeda się całej wartościom i dobrom przemijającym. Ale z drugiej strony to podstawowe "ale" pozwala też nie ulec złudzeniu totalnej zagłady, wrażeniu ostatecznego końca i unicestwienia, gdy życie dobiega końca. Nad grobami naszych bliskich nie stajemy w niemej bezradności wobec przemijania i śmierci. Właśnie to chrześcijańskie "ale" odróżnia nas od tych, dla których życie człowieka kończy się przepaścią, w której znikają wszystkie aspiracje, sukcesy, porażki i oczekiwania.

Przeglądanie galerii osób, które odeszły w ubiegłym roku, może stać się dobrą okazją do refleksji nad własnym nastawieniem do śmierci. Jak zachęca papież Franciszek w homilii podczas Mszy św. odprawionej w Dzień Zaduszny na rzymskim cmentarzu *Campo Verano*, trzeba zakotwiczyć swoje serce po drugiej stronie, na drugim brzegu, tam, gdzie przebywa Chrystus i gdzie ufamy, że są nasi drodzy zmarli. Dzięki chrześcijańskiej nadziei, która pełna jest nieśmiertelności, dominującym uczuciem, jakie towarzyszy nam, gdy zapalamy znicze na grobach naszych bliskich nie musi być bezgraniczny smutek, ale pełna pokoju, pogodna radość.

Grudzień 2013

Radość Ewangelii

Po zamknięciu ostatniej strony adhortacji "Ewangelii gaudium" chce się powiedzieć: cały Franciszek! Cały obszerny tekst adhortacji oddycha tą samą atmosferą, jaką roztacza wokół siebie obecny papież. Jest w nim pewna dawka latynoskiego stylu, który nie troszczy się zbyt o gładkość i elegancję zdań i sformułowań, a koncentruje się na uwydatnieniu centralnego przesłania. Jest wiele obrazów, częściowo już znanych z innych publicznych wypowiedzi papieża lub z homilii w czasie codziennej Mszy św. w domu św. Marty. Jest szczerść aż do bólu, bez oglądania się na jakąkolwiek ogładę czy wewnętrzkościelną poprawność. Jest bezpośredniość sprawiająca, że tekst adhortacji, zamiast charakteru doktrynalnego dokumentu, przybiera raczej postać bezpośredniego dialogu z czytelnikiem. Jest ogromny ładunek emocjonalny, podkreślony dodatkowo przez stosowanie wykrzykników i zdań apelujących do czytelników, co do tej pory nie należało do stylu watykańskich dokumentów. Jest też mocna

dawka entuzjazmu, dzięki której czytelnik potrafi poczuć radość Ewangelii – nie tylko tę wyrażoną w zdaniach ale przede wszystkim tę obecną niejako "między linijkami" dokumentu i w sercu jego autora. Przede wszystkim jednak jest żarliwy apel do Kościoła o wiarygodną i niezwłoczną ewangelizację wszystkich przestrzeni świata.

Nie jest to jednak jedynie emocjonalny apel, w którym forma przerastałaby treść. Od strony formalnej niewątpliwie interesujące może być zestawienie źródeł, z jakich korzysta papież. Uwagę zwracają częste odniesienia do dokumentów lokalnych konferencji episkopatów z całego świata, gdzie zgromadzeni biskupi wskazywali na szczególnie dotkliwe regionalne problemy. Cytując swoich poprzedników, papież też wybiera często wypowiedzi związane z synodami biskupów. Można w tym widzieć znak *zbawiennej decentralizacji* (nr 16) Kościoła, o której wielokrotnie mówił Franciszek. Wydobywa on także chętnie teksty Pawła VI, zapomniane nieco poprzez bogactwo wypowiedzi następnych papieży.

Nawołując do ożywienia ewangelizacji Franciszek łączy ze sobą umiejętnie kilka wątków, które często bywają sobie przeciwstawiane: podkreślenie znaczenia zaangażowania społecznego z uwydatnieniem roli modlitwy i kontemplacji, nazywanie po imieniu grzechów ludzi Kościoła z wyrażeniem głębokiego doń przywiązania i miłości, ale także surową krytykę wynaturzeń życia społecznego z otwartością i serdecznością wobec inaczej myślących. Dzięki temu Franciszek niewątpliwie nie ułatwia zadania powierzchownym obserwatorom, którzy z zewnątrz oceniają życie kościelne, gdyż trudno mu przypisać jednoznaczną etykietkę w stylu: reformator, modernista, społecznik, konserwatysta itp.

Papież wzywa do nowego dynamizmu w głoszeniu Ewangelii współczesnemu światu, przede wszystkim do wyjścia ku tym, którzy z

jakiegokolwiek przyczyny znaleźli się na obrzeżach Kościoła bądź poza nim. Nie jest to jednak nawoływanie do bezpłodnego aktywizmu: *Wiele razy lepiej jest zwolnić kroku, oddalić niepokój aby [...] towarzyszyć człowiekowi, który został na skraju drogi* (nr 46). Nie jest to także wezwanie do tworzenia nowych strategii, mnożenia programów, struktur i narzędzi. W zasadzie to, co najistotniejsze, wcale nie dokonuje się na poziomie działania, ale raczej na poziomie bycia. Kościół musi na nowo uczyć się słuchać kerygmy – najważniejszych prawd Ewangelii, pokornie przyjąć wezwanie do nawrócenia, a potem po prostu zrobić Jezusowi miejsce w swoim życiu, celebracji i aktywności. Owocna ewangelizacja zaczyna się zawsze i jedynie od prostego doświadczenia Bożej obecności. Franciszek pisze o niej z niemalże dziecięcą czułością: *Jakże słodko jest stać przed Ukrzyżowanym lub na kolanach przed Najświętszym Sakramentem i być po prostu przed Jego oczyma. Jakże dobrze jest zezwolić, by On powrócił i dotknął naszej egzystencji i posłał nas, byśmy głosili Jego nowe życie!* (nr 264).

Evangelii gaudium to niezwykle ważny dokument Magisterium Kościoła, ale przede wszystkim osobiste, żarliwe przesłanie papieża Franciszka do włączenia się w odnowę Kościoła i świata, do przełamania pasywności i rezygnacji, duchowej acedii, która paraliżuje głoszenie przesłania Jezusa współczesnemu człowiekowi, do przekroczenia barier, poprzez które świat próbuje przeszkodzić w dotarciu Ewangelii do ludzkich serc, ale także tych barier, które budują sami wierzący poprzez nieufność, zamknięcie, celebrowanie własnych zranień, poprzez własny grzech i zabijającą wszelki entuzjazm próżność. Nad wszystkim góruje absolutne zaufanie do Jezusa, kierującego Kościołem przez swego Ducha: *[...] nie ma większej wolności od tej, by pozwolić się prowadzić Duchowi, rezygnując z kalkulacji i kontrolowania*

wszystkiego oraz pozwolić, aby On nas oświecał, prowadził nas, kierował nami i pobudzał nas tak, jak On pragnie (nr 280).

Ks. Marian Machinek MSF